MARYLA WOLSKA

DZBANEK MALIN

Biblioteka Medycka

MARYLA WOLSKA DZBANEK MALIN

DZBANEK MALIN

Drogiej
Pannie Marji Witkiewiczównej
z wyrazem najserdeczniejszej
wdzięczności — przesyłam

Marja Wolska

Lwów - Zwierzyniec 1929
grudzień —

2

Wrócił do mnie [illegible] po ś.p. [illegible] Witkiewicz[illegible]
Lipiec 1975 [illegible]

MARYLA WOLSKA

DZBANEK MALIN

MEDYKA
NAKŁADEM BIBLIOTEKI MEDYCKIEJ
NA SKŁADZIE GŁ. W KRAKOWSKIEJ SPÓŁCE WYDAWNICZEJ
1929

BIBLIOTEKI MEDYCKIEJ
OPUS 6

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

Niewiadomą odtworzył panią mistrz nieznany.
Z wieków głębi, z otoka rzeźbionych obramień
Twarz niewieścia majaczy w tle, jak drogi kamień, —
Umarłego malarza sen o zapomnianej.

Niby słońca mierzchnący blask, na skroń jej sieje
Złotą barwę dni złotych, dawności patyna, —
Tej — co sama dziś siebie już nie przypomina.
Mglą się perły, wenecki aksamit modrzeje...

Nienazwana, znikniona... Prochów jej atomu
Nieodpytać po grobach, nieznanych nikomu.
Któżby szukał w pamięci niesłyszanej pieśni?

Jeno usta przyśnionej na mistrzowskiem płótnie
Śmieją się na pół chytrze a na poły smutnie, —
Bo któż wie, czy ją kiedy znali jej współcześni?

I.

DZBANEK MALIN

8

GODZINA KTÓREJ NIE BYŁO...

I.

Dnie całe i całe noce
Słowikiem ogród dygoce,

Jakby w kochaniu zawziętem
Ptak krzesał o diament diamentem.

W nut rozsypanych bezsensie
Staw żabim chórem się trzęsie;

W lesie, kukułka tętniąca
Bije godzinę bez końca,

Kłamie w zielonym zapale
Wydzwania z upartą siłą

Godzinę której nie było
I jakiej niebędzie wcale...

2.

Tak mi się usta milczeniem znużyły,
Że dziś, choć wolno — mówić już nie zdołam.
Możem odwykła — może niemam siły —
Tylko cię sercem po imieniu wołam,
Tylko z twym cieniem witam się cichaczem,
O ty mój miły! miły — miły — miły —
I w trawy, twarzą, padam z wielkim płaczem!

3.

Na dno zapadam kwitnących traw,
Niebo nademną, jaskry i szczaw,

Słońcem opiły klonowy liść —
I tak jest cudnie, że mógłbyś przyjść...

I tak jest cudnie, że trwaćbyś mógł,
Nim w słońcu zblednie różowy głóg,

Nim weroniczki zwiędną i ślaz —
Mógłbyś się sercu śnić jeszcze raz,

Nim wiatr z pokwiatu odmuchnie mlecz —
Potembyś sobie znów poszedł precz...

4.

Na trawy leżę płytkiem dnie — wciśnięta
Twarzą w szczaw chłodny... Wiatr pachnie i mięta...
Wszystko jest wokół latem i niedzielą,
Gdzieś tam, wysoko, obłoki się bielą.

Wolno upływa dzień, jak miód ze słoja —
I każda we mnie kropla krwi — jest twoja!

Jako się sączy krew z otwartej rany,
Cicho upływa czas nietamowany...

PRZEZ ZŁOTY LAS...

I

Było Święto Zielone, majowe,
Roześmiana w drzwiach stała pogoda,
Byłam krasna, radosna i młoda —

A zaś szuwar miał usta różowe!

Łąko w rosach! Jać stopą nie trącę!
Cieniem jeno po wiośnie twej brodzę...
Mdlały liście w słonecznej pożodze —

A zaś szuwar miał usta pachnące!

Maju, maju! znów maju mi nałam
I natargaj szuwaru z jeziora!
Była wczesna, niewrócona pora —

W same usta szuwar całowałam!

2

Brakło mi w skrzyni chust na niedzielę,
Więc bielę płótno w miesięcznym blichu,
W sadzie je śpiącym na trawach ścielę,
Na łąk je smugu włóczę po cichu;
Niechże się bieli, niechże się śnieży,
Brakło mi w skrzyni godnej odzieży...

Nieszła mym rękom praca robocza,
Ni mi się kiedy siew szczęścił ziarny...
Dziś — byle jeno dopleść warkocza
I przyodziewek złądzić cmentarny...
Bielę me płótno w miesięcznym blichu,
Nocami, chyłkiem, tkane na strychu...

Rano je z rosy zdejmę wilgotne,
Przed słońca wschodem zamknę w komorze,
A potem nocą, zmierzę i potnę,
Duchem zeszyję i na się włożę...
Niech się nie żali ta ziemia miła,
Żem sobie do niej płótna skąpiła!

3

Biały ci daję
Z lnu przyodziewek,
Sobiem go tkała,
Tobie niech służy!
Niech ci nie zbraknie
Chleba ni śpiewek,
Mnie sen drzymotą
Powieki mruży...

Niczego mi już nie trzeba!

Bo z mojej mąki
Chleba nie wypiec,
Wszystek na węgiel
Zgore najczęściej.
Błogosław Boże
Strunom twych skrzypiec,
Niech ci się ścieżka
Włóczebna szczęści!

Byleś ty sam miał dość chleba!

4

Przez złoty las zaklęty,
Przez złoty las,
Mam iść do ciebie miły,
Mam iść — już czas...

Przez mroczny gaj brzozowy,
Przez gąszcz i chrust —
Gdzie jawą sny się stają,
A świat się śni,
Ty czekasz mnie na skraju
U białych pni,

Lecz skoro warg mych sięgnie
Płomień twych ust,
Musi dziś serce pęknąć
Jednemu z nas...

5

Precz — w dziedzinie dalekiej
Na zielonem dnie rzeki
Dusza moja zimuje —

Do wiosny, do nowej...

Nikt się o niej dowie,
Chyba jedni rakowie,
Chyba nieme szczeżuje,

Do wiosny, do nowej...

Długo będzie czekała,
Nim stopnieje powała,
Nim ją słońce przyzowie

Do wiosny, do nowej...

KRZYWDA.

Otom prawdą otruta i oślepła jawą.
Otom jak źródło leśne, kamieniem zmącona.
Życia sąd mnie zapozwał i dosięgło prawo.
Na nic opór i własna, własnych spraw obrona!

Wszystko marność i marność wszystko! Precz, z zabrzeża,
Gdzieś od lądów przyśnionych, od tęsknot zarzeczy,
Kirem skrzydeł się długich nademną rozszerza
Bezkarna, ciężka krzywda, zapomnianych rzeczy!

WOŁANIE.

Wielka, biała gwiazdo,
Rozgorzała nad jodłowym lasem,
Gdy dogore słońce,
Gdy o niebieskim zmierzchu
Wonne powietrze gór,
Pocznie wilgnąć rosą i ostygać,
Gdy zioła leśne zamykają swe pobożne wargi,
By, zawściągnąwszy woń,
W noc pełną szeptów bożych i objawień,
Milczeć stokroć święciej niż we dnie —
Bądź ty mi, wielka biała gwiazdo, pomocną!

Użycz sił, nam ludziom jeszcze żyjącym,
I sprawić racz,
By kiedyś, gdy się w nas wszystko ściszy
I dokona,
Śmiertelne milczenie nasze
Chwaliło Bożego Ducha śpiewniej niż śpiew,
Goręcej niźli miłość,
Pokorniej niż płacz!

Ucz mnie ty,
Pogodnego jaśnienia samotnych,

Szczęścia spokojnej dalekości
Twoich pustce strażujących,
Niestrudzenie czujnych sióstr,
Przeczyście jasnych,
Bezmiernie dalekich gwiazd,
Albowiem zbyt bliska jestem jeszcze siebie
I wszystkiej rzeczy, która umrze!

I odpuść mi świetlana,
Ty, której dla niewysłowionej twej piękności,
Nie ważę się dawać imienia,
Że oto śmiem wołać do ciebie,
Wielka, biała, wysoko jaśniejąca gwiazdo,
Ja, która żyję oto
I noszę jeszcze imię,
Jako rzecz!

SZCZYTOM SKOLSKIM.

Wiele zapomnę... Lecz i w życiu wtórem,
Gdy myśl człowiecza już na Bożą czas ma,
Za tym rodzonym moich gór konturem
Zatęsknię... Modre ich przypomnę pasma,
Każde jastrzębich skrzydeł odemknięcie,
Każde czerwone ognisko pastusze
I czarne po nich na łąkach pieczęcie
I ziół oddechy, słodkie, jako żadne!

Choć mi tam Pan Bóg ułaskawi duszę,
Tęsknota ciężka, choć bez krwi i ciała,
Zawsze jak kamień będzie w dół leciała,
Póki na lasu mego dno nie padnę,
Póki nie wrócę, Bóg wie z jak wysoka,
Napić się wody z mojego potoka!

Nigdym jej, nigdy, do woli nie piła!

Niech wichru smolne, surowe podmuchy,
Co w serce nasion nawiewały siła,
Znów mnie oblecą! Siedmioma łańcuchy
Zakujcież wy mnie znów, umiłowane,
Co się dróg do was nigdy nie oduczę,

Za wrót siedmiorgiem, na trzy tajne spusty,
Na żórawiane zamknijcie mnie klucze,
Do stóp dziś waszych znów przypadam usty —

Bom wasza była i wasza zostanę!

W GRZMOCIE...

W grzmocie wyznawam Ciebie i w piorunie,
Gdy bór, jak niedźwiedź, krwią broczący z rany,
Zda się na łapy powstawa, nim runie,
Wichrem w pas gięty i za sierć targany!
Wyznawam Ciebie, gdy w błyskawic łunie,
Chmur gradonośnych rozrywasz łachmany,
I nagle z szumem wody wzbierasz rzecznej —

Ten sam co wtedy — straszny i odwieczny...

DUSZA MOJA.

Dusza moja nazawsze zostanie dziewczyną,
Co w las poszła o świcie, z dzbankiem, na jagody,
Krasą śmiała i ufna, że choć lata miną,
Ona przetrwa w urodzie lic swych wiecznie młodej...
Dusza moja nazawsze zostanie dziewczyną.

Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,
Ścieżką idzie samotną, wolna, jak ptak w lesie,
W pas się słońcu jednemu kłania o poranku,
Niby wicher swobodna nad życiem się niesie,
Dusza moja, w zielonym na warkoczach wianku...

Dusza moja nikomu wziąść się nieda w ręce;
Własna swoja, niczyja, nieznana nikomu,
W zaświat boży swe serce poniesie dziewczęce,
Niby malin, wieczorem, pełny dzban, do domu —
Dusza moja nikomu wziąść się nieda w ręce!

SŁYSZĘ...

Otom jak czerpak pusty, po obrzędzie!
Jako wrzeciono, gdy swą nić doprzędzie!

Głosy przedziwne i nieprzeniknione,
Precz mnie wołają stąd — na Tamtą Stronę...

Odwieczna źródeł i ogni dziedzina,
Właść się rodzona o mnie dopomina.

Słyszę... Od lasu, od wody, odedna,
Głębia pieśniami drużek mnie przyzywa!

Pomnisz, o serce? Dosyć! Śmierć jest jedna.
Siostry, o siostry! Wodo czysta, żywa!

ŻAR PTAK.

Schyl się ty po mnie! O, nachyl się nisko!

Jak tę jagodę przyziemną, dostałą,
Co z krza opada i we mchy się toczy,
Tak ty me serce w siwy dzban swój zgarnij,

Pani gór, Krasnodziwo, Lelujo!

Wszak-ci to tu, na tej stromej zboczy,
Na tej słońcem spalonej darni,
Gdzie wichry przegonne dują,
(Gdy się to wszystko stało, co się stało!)
Śmiertelne moje ognisko,
Samotny dogasał mój stos!

Wszak-ci to tu, na tym samotnym wyżu,
Skończyłam się jednego wieczora,
Śmiercią ugasłam, dorodna,
Jako Moranie poświęcony kłos;
Do dna
Utajona ze wszystkiem co własne,
Dobrem i złem...
I nawet sobie, w ostatnią pamięci godzinę,
Nie rzekłam w głos,

Dlaczego ginę
I gasnę...

A oto zadławiona prawda dziś się mści!

Szerokim tchem
Młody, wesoły wiatr
Roznosił popioły moje po szczycie,
Lotnym, szczęśliwym pyłem,
Wyzbytym łez i krwi,
Siał moje życie
Po brusnicach i macierzankach;
Sypało się, już chłodne,
W przemądre oczy dziewięciorników,
Na stulone, złote rzęsy arnik,
W rodzajną, rodzoną ziem...

Szerokim, potężnym tchem
Dopełnił śmiertelnej obiaty
Młodzieńczy wiatr ofiarnik.

Skończyłam się tamtej nocy
Ze wszystkiem dobrem i złem...

A teraz oto,
Pytam Tej, co bez nazwiska,
Nawrotem jeno tęsknot wciąż wołana,
Pytajnym jękiem ścigana w zaświaty,

Pomna wszech-ogni zaczątków i zgasań,
Prostemu przychylna słowu:

— Jakaż dziś zemnie natrząsa się potęga?

Bo czyjże to cień majaczy znowu
Nad zimnym popiołem ogniska,
Przypada na kolana u zgliszcz,
By ogrzać ręce?!
Kto się wałęsa na tym-tu, samotnym wyżu,
Po wichrem spalonej łące,
Nocą?

— Tyżeś to, ty? Jednak? Znowu blisko?!

Twój-że to wzrok żywemi oczyma
Goreje nieugaszony,
Z za łez?!

Mój się to głos dowołał tej godziny,
W kryjomej, bez słów udręce?!

Tyżeś to, ty, nie mara włóczęga?!
— — — — — — — — — —
Wszystko urągowisko!

Jak drapieżny ptak,
Serca się szponem myśl ocknięta ima:

— Poco,
Poco się jawisz, skoro mnie już niema,
Żar ptaku straszny, cudowny, jedyny?!
— — — — — — — — — — — —
Własnych popiołów czują gorżki smak
Usta milczące...

O SŁOŃCE!

A gdy Morana zielem snu mnie zmorzy,
Stań ty mi wówczas, o słońce, za świadka,
Jakom ci wierna była do ostatka —
I źródłom leśnym i echom bezdroży!

A gdy w odlocie krańce piór rozwinę
I głąb się oczom mym rozewrze do dna,
Wstydem się spłomień, życie — że mrę głodna,
Nienasycona schodzę w mrok — i minę...

KONIEC BALLADY.

U pana Spytka we dworze,
młoda umiera żona,
tydzień już ponoś kona,
kona — i skonać niemoże.

I w podsień pan Spytko bieży,
drze garścią włosy siwe:
„Hej, ratuj kto w Boga wierzy!
Dam księdzu na kościół niwę!"

Noc późna, zimowa pora,
a ów śle w okół czeladź:
„Nie wracać mi bez znachora,
choć krwiby gdzie padło przelać!"

Nad rankiem wracają posły
z próżnymi w dom rękoma.
„Bogdajże was psy rozniosły!
Przecz sami wracacie doma?"

Tedy najstarszy w gromadzie
Wystąpi wpierw osobno
i u nóg Spytkowych kładzie
spętaną ptaszynę drobną.

„Szukalim darmo znachora,
to ptaszę naszli ino,
może choć pani się chora
leśną ucieszy ptaszyną".

A drugi za nim w ślad sunie:
„Patrzylim darmo wróża,
lecz oto, na śnieżnem runie
czerwona zakwitła róża".

Głucho pan Spytko zajęknie,
lecz wnet się udobrucha,
róża wonieje zbyt pięknie,
zbyt słodko gołąb ów grucha.

Więc sługom je do alkowy
pan Spytko nieść rozkaże,
sam idzie na mur zamkowy
ponocne luzować straże.

A pani ptaka w rączyny
i różę ujmie cudną:
„Już mi, o Boże jedyny,
niebędzie skonać tak trudno!

Ty w kniei leśnej wyrosły,
szwytszy niż gońce płatni,

nieśże w świat, pośle nad posły,
znak woli mojej ostatni!"

I bledsza nad biel wezgłowi
na łożu swem usiędzie
i cicho pocznie ptakowi
śmiertelne zwierzać orędzie:

„Gdzie góra siódma, gdzie rzeka,
nieś kwiat ptaszyno biała
i mów, niech dłużej nie czeka
ów, com na śmierć go kochała!

Ziemim ślubiona zbyt luźno,
dziś schodzę z niej jak weśnie,
otwarłam oczy zapóźno,
zamknąć je muszę zawcześnie...

Patrz, wolność wieszczę wam obu,
otwarte drzwi na oścież...
O spokój dla mego grobu,
dusze nabożne, poproście!"

U pana Spytka w alkowie
płacz, lament, ciżby siła,
nad białe bledsza wezgłowie
młoda już pani nie żyła.

O PANU RUSALNYM.

I

(przeorał popioły pług)

Ku Białopani, ku Radosławie,
Słał pan rusalny bystre żórawie;

Słał jej na nowiu, z wiankiem maruny,
Ryte na korze brzozowej runy,

Na białej korze, strzałką krzemienną:
— Odpowiedz miła, czyś mi wzajemną?

Odkąd cię oczy ujrzały moje
Jak świerk piorunem zatlony stoję.

Jeśliś mi rada, ptakom to rzeknij,
A jać się do nóg skłonię najpiękniej.

Jeślim ci zasie sercu niemiły,
Raz je ostatni skrzydła nosiły.

Za złą nowinę, klucz się żórawi
Na śmierć od mściwych strzał mych okrwawi!

II

— Jak się to dzieje rusalny panie,
Żeś znalazł wemnie upodobanie?

Obcy ci ród mój, nazwa i mam
Lat może więcej niźli ty sam...

— Niemam ja nazwy i niemam lat,
Wiecznym jak życie, dawnym jak świat! —

I ktoby doli pytał o ród,
Kiedy śmiejąca stanie u wrót?

Wiosna-ci jestem i wiatr gorący,
W południe złote od łąk lecący!

— Niedba o łąkę wiatr gdy ją pomnie.
Nim żniwa przyjdą, zapomnisz o mnie...

— Prędzej za służbą pójdę do ludzi,
Nim mi się kiedy krasa twa znudzi.

Urodnaś ty mi i tak powabna,
Jak z leśnych moich urocznic żadna.

— Nie mówisz ty tak na żart i śmiech?
Może ci która milejsza z nich...

— Ani mi która milsza i klnę się,
Niema wdzięczniejszej w mym całym lesie...

Wie o tem łąka, wie wiatr i wie
Pohuk zdyszany szumiącej krwi,

Nowik i słowik, w nockę tę rośną,
W gwiazd osrebrzynie dzwoniący głośno.

— Z tych ja się wiodę, o najmilejszy,
Których kochania i śmierć nie zmniejszy!

— Jakom żyw, dotrwam tobie i juźci
Nigdy cię moja myśl nie opuści!

III

Prędzej się wiater o drogę spyta,
Niż złe o duszę, kiedy pozbyta.

Prędzej się kamień użali na dnie,
Niż złe tej duszy, która przepadnie...

(przeorał popioły pług)

GOŚĆ.

(To Jasiek z pod Sącza powrócił i gra!).

O miłościwy, o doczekany!
O pieśni wracające do domu!

W cień drzew przychylnych,
Sama — pod jawory,
Co mam, wyniosę dla ciebie z komory,
Chleb i sycone ciemne miody
W dzbanie!

Tobie jednemu, nikomu!

Z ciżem niech pyły oprószą ci cudze,
Sakwy podróżne zdaj pod pieczę słudze,
Wędrowną zrzuć z ramion opończę!

O najmilejszy gościu mój a panie!
O skrzydła, o skrzydła skowrończe!

Pójdź — w kalinowe, jaworowe chłody,
Tam, na zielonej przyzbie,

Co pień objęła obręczą,
Racz zemną usiąść pospołem!
Niech cię pszczoły witaniem obrzęczą,
Niech grające oblecą cię kołem,

Za stołem zbyt duszno w izbie...

O łzy nie pytaj w oczach moich duże.
Przędzy zbyt długiej ciężko wysnuć docna!
Lato minęło — już jesień owocna,
Jabłek ci winnych i śliw koszem służę.

O pieśni lecące od sioła do sioła!

Mów mi o sobie, lub umilknij zgoła —
I ja powieścią własną cię nie znużę,
Jeno ze sercem radością ściśnionem,
Nisko, u stóp twych usiadłszy z wrzecionem,
Nici przydługiej — dokończę...

O pieśni, o pieśni skowrończe!

Lecz wpierw się jeszcze chlebem zemną przełam
I soli szczyptę weź z mej ręki, proszę!
Co kiedy w serce z twego chleba wzięłam,
Duchem odnoszę...

Tobie jednemu, nikomu!

A kiedy gęśle obejmiesz za szyję,
Gdy struny dźwiękną,
Gdy staną godziny,
O gościu, o gościu najrzadszy,
Jedyny,
Młodość się ocknie, lecz zanim odżyje,
Na śmierć się zasłucha,
Zapatrzy!

O pieśni wracające do domu!

TRZEJ KRÓLOWIE.

Idą gościńcem Trzej Mądrzy Króle,
Dary niosący w ciężkiej szkatule,
Mirrę, kadzidło i złoto.

Gwiazda migoce, mróz ciśnie tęgi,
Wicher świąteczne drze im siermięgi,
A oni idą mimoto.

Przeczuli bowiem po znaków mnóstwie,
Że Boga znajdą w człeczem ubóstwie,
U Matki-Panny, przy piersi.

Żywot niejeden człowieczy minie,
Oni wciąż spieszą w świat ku Dziecinie,
Powitać chcąc ją najpierwsi.

Długo przez ziemie wędrując obce,
Blask wreszcie widzą w stajennej szopce
I wraz u proga przystaną.

Żywego w koło nie zajrzeć ducha,
Wół jeno z osłem żuje i chucha
I pachnie od żłobu siano.

I lęk zdjął Mądrych Trzech Króli wielki,
Bo gwiazdy oto blask wskazicielki
Świadczy że stoją u celu.

„Żaliż nie pod tem Dziecię podstrzesiem?
Czyż nie tu serca stęsknione niesiem,
Od lat — od wieków — tak wielu?!“

Aż gdy tak z sobą radzą po cichu,
Pastuch się w mierzwie ruszy na strychu
I, czego chcą tu, zagadnie.

„Samotrzeć oto idziem z oddali,
Dziecka szukając co świat ocali
I dusz dziedziną zawładnie.

Trzej Króle sąśmy, Mędrcy ze Wschodu,
Półżywi z chodu, głodu i chłodu,
Przemożną gnani tęsknotą!

Skarby niesiemy w sakwach rozliczne,
Kadzidło, mirry ziarna goryczne
I szczere w szkatule złoto.

Żywot po drodze znojnej strawilim,
By u stóp bożych rozesłać kilim
I dary złożyć troiste.

Wskaż nam to Dziecię, człeku ubogi,
A z nami łaska boża w twe progi
Pospołem wnijdzie, zaiste!"

„Niemasz tu dziecka, o monarchowie!"
Trzem Mądrym Królom pastuch odpowie
I żywo z siana się grzebie.

„Lat dwa tysiące mija bez mała,
Odkąd go matka na świat wydała,
Dziecko znów Bogiem jest w niebie.

Kadzidło księdzu niech służy do mszy,
Ja tam na złoto wasze łakomszy,
Gorycz schowajcie dla siebie!"

NA DNIE ZWIERCIADEŁ.

I

Kocham czar wspomnień, smutny wdzięk dawności,
Woń starych dworów, pustki i lawendy,
Rozwory wielkich, szklanych drzwi — bez gości,
Myśl, że tak wiele przeszło życia tędy,
Życia co płynąc, jak dym się ulatnia —
I żem nie pierwsza tu i nie ostatnia...

I zdaje mi się, że w powietrza strudze,
Co przez pokoi płynie pustkę wonną,
Dech się czyjś ostał, jakieś szczęście cudze,
Żal czyjś, tęsknotą gnany tu pozgonną,
Coś, co jak zapach uwiędłego kwiatu,
Miejsc się kochanych nie puszcza i trwa tu.

2

Znam jeden ogród dziki,
  Po którym nikt nie chodzi,
    Rezeda i goździki
      Wonieją tam najsłodziej,

I pachnie zmierzch w altanie
  I chmiel się kręty wije
    I jakieś zakochanie
      Majaczy, Bóg wie czyje...

I pusta, czarna ścieżka
  I białe, puste ławki,
    Dwór, w którym nikt nie mieszka
      I ciemna głąb sadzawki.

Raz pono ktoś w tej wodzie
  Utonąć chciał przed laty...
    W jesiennych zmierzchów chłodzie
      Wiosenne śnią się kwiaty...

3

Jak wnętrz znajomych przewrotne wykroje,
W zwierciadeł mętnych odbite kwadratach,
Tak mi się jawi — opacznie — po latach,
Dziwne, przedziwne, własne życie moje...

Pamięci złota rama je obrzeża,
W taflach zaśnionych dwojąc półprzytomnie
Świat, gdzie słych zginął po tobie i po mnie —
Z ogrodu płynie woń pokosów świeża...

Czerwcowy, późny, słodki zmierzch, jak ongi...
Te same ciepłe, pachnące przeciągi,
Pokoje tylko mroczniejsze i pustsze...
Na dnie zwierciadeł, w mierzchnącym zarysie,
Ugasa wszystko... Życia majak śni się,
Prawda, odbita na wspak, w krzywem lustrze...

4

W mrocznym salonie drzemią stare sprzęty,
Wonią tchnie duszną jaśmin z szklanych waz,
Zda się, sam zdrzemnął tu na chwilę czas,
Przewonną ciszą pustki ogarnięty...

Zieleni majak, w szkłach zdwojony cudnie,
Sen, co się przyśnił zwierciadlanym dnom,
Siecią win dzikich blask sączące w dom,
Śni się czerwcowe, złote popołudnie.

Palisandrowe klawikordu wieko
Stosami zmiętych obciążone nut,
Tai dziw, słodki jak miłość, jak miód,
Pieśń, co gdzieś zmarła tu raz, niedaleko...

I gdy tak cicho, sennie, pusto w domu
I kwietne same błądzą wokół wonie,
Niedosłyszalna niczemu, nikomu,
W sprzęcie zamkniętym dźwięczy pokryjomu,

W półmrocznym, wiejskim, drzemiącym salonie...

5

Cicho, przez dworu chłodną sień,
W izb mroczne amfilady,
Myśli mej trwożny idzie cień,
Samotny na wywiady...

Odwieczny zegar zwraca doń
Zdumionej twarzy krążek
I czuć w powietrzu smutną woń,
Woń starych, dobrych książek...

Błyskami bronzów biurko lśni,
Cesarstwa styl przeczysty,
Skrytkę w niem jedną znam a w niej
Pożółkłe, dawne listy...

Ruszonych drzwi poznaję skrzyp,
Stojących wszerz otworem,
Oddechy kwietnych płyną lip
Od parku, przededworem...

6

Cicho w domu... Noc późna. Sama jedna chodzę
Po znajomych pokojów trzeszczącej podłodze,
Przez okna, od traw śpiących, płynie chłodu fala;
Żaby grają... Derkacza słychać z łąk, zdaleka...

Na komodzie ostatek świecy się dopala
I ruchomy, po modrej ścianie, cień rozwleka...
Jest coś wemnie, coś przymnie, coś, co słów już niema,
Tylko trzepie się jeszcze, jak ta ćma o ścianę.
Przez sen pachną bławaty... W płomykach kilima
Drżą zapachem muśnięte, barwy rozespane...

7

W ścian tych samotni, pustką zatchniętej,
Straszy tu pono i w biały dzień,
Dawne poznając kąty i sprzęty,
Jakowyś cień.

Pyta — choć prawdy dociec nie rości,
W zwierciadeł mętne wpatrzony szkła:
— Nie widział kto z was mojej młodości,
Co tędy szła?...

8

Przenadobnych orszak dam,
Rój tancerzy...
Czyliż oczom wierzyć mam?!
— Niech aść wierzy!
Tyżeś to, ty? Tyżeś?!!
— Ja!...
Żywaś?
— Patrz!
Słyszę jeszcze tamten płacz,
Z serca dna...
— Przypominasz?
Minął wiek...
— Żyjem znów...
Przypominasz com ci rzekł?
— Niemam słów...

Nieprzejrzanych szereg sal,
Głąb lustrzana,
Menueta słodkie piana...

Jaki żal! Jaki żal...

Z PRZEDWOJENNEJ SZUFLADY.

Wspomnieniom Perepelnik.

I

W dwory cię wołam puste i ogrody,
Ducha lat dawnych szukać i pogody,
W zegarów starych wsłuchiwać się dźwięki...
Może, gdy w takie raz wnikniemy kraje,
W majak uwierzym, co się sercu zdaje
I może w białych jakich ganków chłody
Cichy ptak szczęścia przyjdzie nam do ręki!

Niema nikogo... Taki moment rzadki!
Zda się, że strojne praprababek szatki
Szeleszczą wonne w komnat amfiladzie!
Jedna z nich oto, à la Madame Capet,
W czepeczku białym, na błękicie tapet,
Z ram złotych patrzy... Może chce z szufladki
List jaki dobyć? Może pasyans kładzie?

Różnie tam pono bywało z tą panią...
Do dziś niejedno pomną jej i ganią.
Lecz gdy się w oczy te zapatrzę duże,

Na usta miękkim stulone uśmiechem,
Wiem, że w jej życiu nic nie było grzechem
I czuję urok, co się wlecze za nią,
Jak szal, w stulistne haftowany róże...

Niema nikogo... Klawikord otwarty,
W głębi kantorek i stolik na karty,
Tam, na kominku zegar złoty z Dyaną...
Długa kanapa na lwich czterech łapach,
Na niej poduszka w drobny ścieg... Mdły zapach,
Jakby lawendy na dłoniach roztartej,
Do której skrycie kilka łez dolano...

W kącie serwantka... O pierwszy teatrze!
W zadumie staję przed tobą i patrzę
Na kulis twoich zwierciadlane dale,
Na figurynek krygi, na ten cały
Marzeń dziecinnych powiat ocalały
I na odbicie jego wtóre, bladsze,
Jakby przez Lety majaczyło falę...

Każdą poznaję z saskich filiżanek,
Kwokę i muszle... Tam z cukru baranek.
Gdzie to święcone, co się pasał na niem?!
Pośród lichtarzy wazon złotouchy,
Biedronki na nim, kwiatuszki i muchy,
W nim bukiet uschły... W balowy zaranek
Z czcią tu pochowan ongiś i kochaniem...

Rzekłbyś: królewna w trumnie kryształowej
Dawność się jawi! Nie wysłowić słowy,
Jak się cudownie promień słońca włóczy
Wzdłuż ścian, po sprzętach, westrzelony skośnie,
Przez gąszcz win dzikich, co na ganku rośnie,
Jak biurka krwawi fronton mahoniowy
I pogubionych szuka w zamkach kluczy!

Coś, co się zgoła wypowiedzieć nieda
Płynie powietrzem... Woń lip, czy rezeda?
Najmilsza z godzin — piąta — bić poczyna.
Jakowiś drodzy goście niewidzialni
Przez drzwi się szklane wiodą do bawialni...
Nagle ożyła lotna wspomnień scheda,
Co o świadectwo słów się upomina.

Bywajcie mili! Czyżbym wątpić śmiała,
Że to od waszych serc ta woń zawiała,
Coś, jak kadzidła trzykrólskiego szczypta,
W gromnicy dymnym spalona płomieniu?
Wszak znam was przecie, znam was po imieniu,
Choć się rodziłam wówczas, gdy bez mała
Was wszystkich dół już ugościł, czy krypta!

Dobrzy wy, skromni! Światli tą poświatą,
Jaką na dusze wieczne kładzie lato —
Szczęśni spokojem dosnutego motka,
Cóż mi rzec o was? Jak wyrazić w słowie,

To, co się chybapożyciu dopowie?
Ziemiście strzegli! I niechże wam zato
Sen będzie lekkim w niej i pamięć słodka!

II

Znów mnie ku tobie wdzięczne myśli wiodą,
Pokoju modry, jako dno pod wodą,
Gdzie fuksje kwitną, mirt i rozmarynki...
Przed Częstochowską płomyk drży czerwony,
Tapet znajome barwiąc anemony —
Do szuflad twoich, ciotczyna komodo,
Po latach, serce dąży na wspominki!

Zegar ich strzeże. Nieruchome lica
Dawno mu ścięła wielka tajemnica —
Coś mi się widzi tylko, że czas późny!
Wie gdzie są listy, — gdzie paryski, pierwszy,
Złocony tomik Słowackiego wierszy,
Gdzie dziada barska leży ładownica
I obozowych wieści arkusz luźny.

Stary rocznika witam tom otwarty,
Gną się bez szmeru zwiędłe, zżółkłe karty;
Z nawyku, nowin szuka wzrok w gazecie.
Co to?! Czy własne nie mylą mnie oczy?!

— „Lada dzień cesarz granicę przekroczy,
Z wojskiem od Niemna, z za Wisły i Warty...“
Więc czas?!... Czas jeszcze? Ile lat? Stulecie!

Więc nie stracone jeszcze nic?!... Oczyma
Chłonę tę prawdę, której dawno niema,
Wieść, co jak płomień radosny przeraża
Do dziś... O, jakże tamtym być musiało,
Co dniom tym dali żywą krew i ciało!
Co szli, aż śmierci nieprzespana zima
Skryła nadzieję — wojsko — i cesarza!

Pokoju drogi! O pokoju miły!
Już rąk tych niema, co tu ład czyniły,
Co pić dawały duszom — ptakom — kwiatom!
Coś jednak trwa tu, coś jednak zostanie:
Długie, żarliwe, uparte czekanie,
Nadzieja mocna, z której wiek brał siły,
Którą do dziś tu dyszy każdy atom!

III

Jeszcze jest lato, lecz już cień swój ściele
Żałość jesieni na kwiatów wesele
I dal zalewa mgieł błękitnych mlekiem.
Jeszcze jest błogo, lecz już ranki świeże
Schyłku radości zwiastują pobliże...

Gdy czasu jeszcze zdało się tak wiele,
Wszystko zapóźnem dziś i zadalekiem.

Cześć wszakże słońcu, latu i jagodom!
Jak gość spóźniony, wracający do dom,
Świadom wszelako że cudem jest życie,
Tak się wam kłania dusza ma dziękczynna!
Wiem, że tu z rzeczy żadna nie jest winna,
Że skon miłościom jeden i ogrodom,
Łzom na rozstaju i grzędom w okwicie...

Czas się już żegnać... Czas, jak ptaka w łono,
Zagnać na spanie myśl nienacieszoną
I ócz radości pogasić ostatnie...
I kwiatów trzeba jutro, na odjezdne;
Szałwie, rezeda, wielkie astry gwiezdne,
Kilka ostatnich róż, wynajdzie pono
I o świtaniu, wczas, ogrodnik natnie...

IV

Powietrze wonne, złote i zielone,
Marszczy ruchomą jesionów oponę
I jak miód ciepły do izby się wlewa...
W słońcu na bluszczach roje os się ważą;
Widzę cię niemal... Dobrą chłopską twarzą
Śmiejesz się do mnie, ty, prosty, jak one,
Boże pszczół, kwiatu, owocu i drzewa!

I moim jesteś! Mądry, uśmiechnięty,
Chwalony wonią bzów dzikich i mięty,
Błogosławiący ule i mrowiska,
Chlebne siół dymy i myśli człowiecze,
Ty jeden sąd masz nademną i pieczę,
Znasz dodna błędnik mego serca kręty
I w twarz mi twoją wolno patrzeć zbliska!

Dziecka mam śmiałość do niego i ptaka!
Wiem że go cieszy śmiech i śpiew i jaka
Ścieżka doń wiedzie najkrótsza... I czemu
Milczy wołany i nieodpowiada...
W chmiel dziś i głogi stroićbym go rada,
Garścią pszenicy obsypać z przetaka
I malin dzban mu zanieść — po dawnemu!

V

Nic — tylko błękit i spoczywająca
Znużona, szara ziemia... Tarcza słońca,
Stoczona nisko na złote podniebie,
Promień po skibach wlecze jak po fali.
Pomyśl! Tak kiedyś dzień nasz się dopali,
A my zapadniem w ten ugor bez końca,
Na wieczny, plenny, pszenny sen o chlebie!

Wiem — i w pogody tej wniknięta cudo,
Ziemi się mojej wierną czuję grudą,

Prochem pokornym, szczęsnym w prostej wiedzy,
Że stąd nie pójdzie nigdzie... Tak mu Boże
Dopomóż mocny! Ty, coś nas i zboże
Stworzył — i drobną tę przepiórkę rudą,
Cieniem mym smukłym wypłoszoną z miedzy...

Nic się nie kończy, nic się nie zaczyna.
My, ziemia — słońce — ptak, czy ozimina,
W żywota wielkim, wiecznym kołowrocie,
Jedno jesteśmy! Jeden wątek pasma,
Które ta mądrość, co na wszystko czas ma,
Tka wciąż — i zwija znów i nie przecina —
I nigdy w swojej nie stanie robocie.

W ogrodzie smutek. Chłód kościelny wieje
Od lip — przez ciemne, świerkowe aleje
I wzrok na pola otwarte wygania.
Patrzę... Przedemną ląd, nademną zasię
Głębia przestworu, zatracona w czasie,
Pokój i święto... A w sercu się śmieje
Nagła — głęboka, mocna radość trwania!

VI

Smukłe kolumny na ganku wybiela
Jesienny księżyc. Ostatnia niedziela
Lata się kończy... I nietylko ona!
Mrze tu niejedno żegnane po cichu,

Co w oczach blednie, jak płótno na blichu.
Od parku płynie woń mokrego ziela
I nocny, chłodny, słychać szum jesiona.

W bawialni lampa niebieska się pali,
Majaczą sprzęty zaspane... W oddali
Zda się już niknąć wszystko, choć przytomne.
O świcie odjazd! Lecz jakoś nikomu
Nie spieszno jeszcze z nocy tej, do domu...
O lato mrące! Niechże się ocali
Z ciebie to bodaj, czego nie zapomnę!

Wtem — jak szkło kruche, jawa pryska, szczeza...
Ktoś gra! Książęca nuta poloneza
Puszy się butnie, wyloty zarzuca,
Miną nadrabia... Drwi — choć coś umarło
I coś przepada! Jakiś szpon za garło
Dusi znienacka... Ostatnia impreza
Karmazynową krwią zalała płuca!

Wara mi bluźnić! Taniec się przegina
W dwornych zawrotach... Nasza, nasza wina!!
Jak pierś słowicza klawikord się trzęsie...
Byleby godnem uczynić skonanie —
O żywot mniejsza, gdy honor zostanie!
Lecz jakże boli... W Imię Ojca, Syna,
Kto śmie, o próżnym gadać krwi expensie?!

Para za parą w sad! Polonez płynie,
Precz — po miesięcznej nocy seledynie,
Mara za marą... Biały atłas ciżem,
Srebro mundurów... Mgliście, posuwiście,
Przez park uwiędły, przez szumiące liście,
By o dusz zmarłych pokutnej godzinie,
Na głaz kapliczny, cicho słać się — krzyżem...

...I znowu cisza. W drzwiach otwartych stoję,
Wszystko, jak było. Przez mroczne pokoje
Dreszcz nocy płynie, przeciągiem nadniesion.
I słychać niemal sypki szelest pasma,
Które ta mądrość, co na wszystko czas ma,
Tka wciąż — i zwija znów na krosna swoje...
I tylko pachnie sad i szumi jesion...

FUGA WICHROWA.

Na palowisku drwa wilgotne tleją,
A wedle drew,
        Skry ledwo żywe
                migocą jak krew...

Zapamiętana w samotni,
Rozkołysana nocą i zawieją,
Na straży duszy własnej myśl ma trwa.

A ty, opętany włóczęgo,
Błędny rycerzu nędzy, obieżyświecie
Wichrze,
Grasz w dymniku swoją pieśń
Bez końca!
Bez końca, długim, cienkim smykiem,
Ciągniesz po rozstrojonych, potarganych strunach,
Aż się struchlałe, zawysokie tony
Rwą...

Śmierci grać chyba takim do tańca!

Słyszę twój zdyszany oddech,
Tuż — tuż nad sobą, w sobie —
Aż piersiom moim zbywa nagle tchu..

Spocznij!
Twój bezprzytomny oddech obłąkańca
Mym własnym płucom zabrał wszystek dech...
Nie godzi się, grać tak na swojej piersi,
Nie godzi się, grać tak na cudzej piersi
Nikomu!
I skąd ty wichrze o tem wszystkiem wiesz?!
Gdzieś ty się o tem zwiedzieć mógł, do licha!
Kto sprawy moje wydał ci najcichsze?
Kto nam zestroił głosy w jeden ton,
Ty rozwydrzony, rozpętany wichrze?

Mów! Toć nie godzi na nas nikt, ni dybie!
Nikt nas nie tropi,
Nikt słów naszych duchem nie chwyta,
Nikt myśli sercem nie waży —
I nikt nie jest świadom ich śmierci,
Kiedy polotne, zawrotne, samotne,
W niedośledzonym, górnym locie
Mrą...
Śmiało — donośniej pędziwietrze!
Zbądź obaw, szalony!
Któż czyha na takiego jak ty?

Pustka naokół a noc-worożycha
Wróży z wyciągniętych w mroźną przestrzeń rąk,
Z lotu ponocnych, dzikich ptasich stad,
Z myśli — co bezpowrotne, polotne, samotne,

Z śmiertelnym błyskiem gwiazd gaszonych
Mrą...

Ale noc kłamie —
Podstępnie zmyśla czarna noc-cyganka!
Nie spełni się żadna z jej urocznych wróżb,
Żadna z szeptanych, słodkich przepowiedni
O ranka słonecznym cudzie!
Żadna z jej dzikich nie ziści się gróźb,
W ten nadchodzący, trzeźwy dzień powszedni —
Najstarsi świadczą ludzie!

Zawsze będzie dla serca za skąpo,
Zawsze będzie dla ramion zamało!

A jednak —
O rozwichrzona, zwodna nocy, — kłam!
Rozkołysana, wietrzna nocy — wróż!
Błagalne dłonie obie
Wyciągam ku tobie w mrok
I czekam na twoje oszukańcze gusła,
Na niesamowitą złudę prawdy czekam,
Tak, jako tamci, o wiośnie i we dnie,
Wierząc — na szczęście czatują powszednie,
Tężący ku drogom wzrok !

Niechby się choć przyśniło,
Niechby się choć zwidziało...

O jak rozpacznie gra w dymniku wiatr!

Lecz tobie wichrze oto mówię: — Wstań!
Jako przed bojem krzepki miodu chłyst,
Nabierz oddechu w gromką twoją krtań,
Niechaj wojenny twój zawarczy gwizd!
Zaciągnij się mroźnem powietrzem
Od szerokich, ośnieżonych pól,
Od przestrzennych, ogwieżdżonych niw
I dmij — i wyj — i grzmij!!

Co znaczy wszelki ból —
I co tam wszystek płacz,
Co zacz niewiedzieć i czyj?!
Bo oto już jadą, oto jadą —
Patrz!
Skończony gdzieści bój!
Rycerne, pancerne hufy,
W szumnym polocie rozhukanych grzyw,
Z głuchym tententem uskrzydlonych kopyt,
Biała hussarja zawieruchy wali,
Wali prosto z zaświata,
Przez zawiane, zasypane pola,
Wali cwałem do zapartych wrót —
Na przełaj — na schwał — na dziw!

Wygrany gdzieści bój!

Hola! Otwieraj nim się przybliżą,
Otwórz nim cię wichurą rozmiotą!
Dalej! Duchem! Chyżo — Stój!!
Nie pytać skąd i kto to!
Wygrali!!

Niech wam się wróżba szczęści,
Rycerne, pancerne sny!
O hełmy piórotrzęsne, o w stal zakute pięści!
To wy —
                    To wy —
                                        To wy!!

O jak zwycięsko gra w dymniku wiatr!

I skąd ty wichrze o tem wszystkiem wiesz?!
Gdzieś ty się o tem zwiedzieć mógł, do licha?
Kto sprawy moje wydał ci najcichsze?
Kto nam zestroił głosy w jeden ton,
Ty rozpętany, obłąkany wichrze?!!!

Zapamiętana w samotni,
Rozkołysana nocą i zawieją,
Na straży duszy własnej myśl ma trwa.
Na palowisku drwa wilgotne tleją,
A wedle drew
        Skry ledwo żywe
                Migocą jak krew...

II.

NIC SIĘ NIE KOŃCZY,
NIC SIĘ NIE ZACZYNA...

5*

67

ONA.

Nie mówię o niej nigdy... W snów mych złotogłowy
Odziewam jeno blade mar królewskich cienie,
Pogrobowych mych tęsknot chrzestne obleczenie
Kładę na nią jak ciężki płaszcz gronostajowy.

Nie mówię do niej nigdy — bowiem gardzę słowy,
Co jak łuczyw znikome chwieją się płomienie
I w dymach, blaski zmienne miotając po ścienie,
Ognia łopotem mącą pokój jej grobowy...

A nie przeto z nią milczę i nie przeto o niej
Ustom moim posępny duch mój prawić broni,
By śmiał wątpić, że — kiedyś — rzuci senne leże,

Jeno mi się me słowa nie dość widzą godne
By jej niemi sny serca wyznać pierworodne,
Bo zbyt dumnie miłuję — zbyt boleśnie wierzę!

STARY SAD.

Jak wosk gromnicznych świec
Liść rudy kapie w sadzie,
Po cichu spać się kładzie,
Jakgdyby nigdy nic.

Jakby na stary sad,
Na złote lip aleje,
Ostatnie swe oleje
Jesienny zachód kładł.

I duch-by wziął zeń rad
Ostatnie pocieszenie
I chłonął te promienie,
Jak stary, mrący sad...

I takby opaść chciał,
Po cichu, jako w sadzie
Spalony liść się kładzie —
Gdyby nie pohuk dział,

Gdyby nie armat huk
I nie to wyglądanie
Wszystkiego co się stanie —
I duch-by spocząć mógł...

DZIŚ.

Późną jesienią, ranki wczesnemi,
Śpiewało serce pochwałę ziemi,
Jak ptak, bez mała.

Szła z pól oranych pszeniczna siła,
A dusza rosła, krzepła, wierzyła,
Że będzie trwała.

Dziś — o przedwiośniu, kiedy wieczorem,
Półsenne, kończą pieśń nad ugorem
Głosy skowrończe,

Nisko polata nad sercem mojem: myśl-ptak,
Że kiedyś, z śmierci ukojem
I ja się skończę...

POKŁON.

Śpiewa mi wiosna powrotną nutę,
Jak ptak się po sercu kołacze,
Coś poniechane, coś niedosnute
Co samo za sobą dziś płacze.

Śpiewa mi wiosna powrotną nutę,
Na wietrze się młodym odzwania,
Coś niedomarłe, coś niedotrute,
Co śmierci i słońcu się kłania...

MOŻE...

Wiatr wytarzał się w życie,
Jeszcze miejsca mu mało!

Gwiazd zadymką mży białą
Krzak tarniny w okwicie.

Idzie wiosna i życie,
Jakby nic się nie stało.

Tyle w słońcu przestrzeni,
Takie młode czekanie —

Że się może coś zmieni,
Coś się może odstanie...

ROZEJM.

Gdzieś w mokrych gajach tętnią słowicy,
Okwita majem świat po próżnicy.

Radość przegnana, jak nocny złodziej,
Słońcem się płoszy, stronami chodzi.

Gwiazda wieczorna poziera bledsza,
Na wszystką cudność, której dziś nietrza.

Noc — na rozstaju gdzieś dróg, do rana,
Waruje dysząc śmierć spracowana.

„ŚWIĘTY BOŻE".

Nad odmętem złoty most,
Szlak co bieży w niebo wprost.

Tęcza dźwięczna tych podwoi,
W których sama wieczność stoi...

Jęk bijący o ten próg,
Z za którego słucha Bóg.

WIELKI ŁAD.

Opuszcza liście złoty klon —
Gdzie poszło lato moje?!
Na okół wszędy kres i skon,
Z próżnemi dłońmi stoję.

Żal jeno tępy w sercu tkwi,
Jak cierń złamany w ranie.
Rwie się na wietrze, waha, drży
Daremne zapytanie.

Żal ów, co wszystko wie, czy zgadł,
Przeboli i ustanie...
Bierze mnie w siebie Wielki Ład
Na wieczne nieoddanie.

KORA.

W białej ruinie umarłego domu, —
Ugodzonego w serce domu, — siedzę
I zda się wnikam w nieznaną nikomu
W tę między śmiercią a żywotem miedzę.
Skrzypką świerszczową wczesny zmierzch dygoce —
Czy już mnie niema — czy wciąż jeszcze jestem?
W zamarłych ścianach tajne życia moce
Nasion mnie sypkim urzekły szelestem.

Skrzypką świerszczową mrok jesienny brząka,
Podzwania suche na przetaku ziarno;
Dokonań bliskość — witanie — rozłąka,
Wszystko pod skibą przytajone czarną,
Wszystko mi w zwarciu uwiędłego strąka,
Trumna dla kwiatu, dla ziarna kołyska,
Jawne — i oczom ukazane zbliska.

Trwam, czym już wnikła tam, skąd się nie wraca?!
Czym w sennej pustce długiego wieczora,
Jak do podziemi jeno zeszła Kora,
Dojrzałych nasion wywczasu strzegąca?

Byle wystrzelił znowu pęd do słońca!

I wszystko jedno — pszenicy, czy ostu,
Byle darzyła się odkwitu praca
I dziw cudowny pełnił się poprostu,
Jak kiedy ręka, wspak, powrotnym gestem,
Już przesypaną klepsydrę obraca...

Dlategom była — pocóż jeszcze jestem?!

Perepelniki 1919.

TEN SAM.

Ten sam, ten sam dziś uczuwam
Na żal czy radość brak siły,
Gdy martwa poglądam ku wam,
O domu, o sadzie miły!
Lecz z serca wam błogosławię
I śniegu ponowie białej
I kwiatom przyszłym i trawie
I sośnie na zboczy pochyłej
I duszom co mnie kochały
I rękom co mnie zabiły!

KROPLE GORYCZY.

Pocoś się trudził do mnie, długi dniu, co mijasz
I jak ja się obracasz w proch, nieżałowany?
Jakiż ci tu zły sąsiad pomógł wnijść? Moc czyjaż
Śmiałość dała, żeś — cudzy — dotknął mojej rany?!

*

Godnie zakończył duch, wódz zmordowany,
Serdeczne boje —
Lecz jakże dziwnie podobne przegranej
Zwycięstwo moje!

*

Czy krócej się myśl tu, czy dłużej
Za prawdy śladem upędza,
Z wszystkiego się w końcu wynurzy
Wieczysta człowiecza nędza.

*

Mądrość kupujem ceną młodości,
Śmiercią płacimy za dar żywota;

Póty się myśl w nas gmatwa i mota,
Póki jej nagle śmierć nie uprości!

*

Górnemi się żyło radośćmi,
Dziś jednej pociechy dość mi,
Że z pięciu klepek w których się męczę,
Oblecą kiedyś obręcze.

*

I cóż, że śnieg twój, miłosierna zimo,
Ciszą śmiertelną na ogród mój padł?
Stóp na nim widzę jeszcze głębszy ślad,
Co wedle drzwi mych znowu przeszły mimo.

*

Nie pora prawdzie w oczy dziś przeczyć!
Choć po mnie głusza jednakać,
Nie raz ci, świecie, będę złorzeczyć,
Sto razy za tobą płakać!

*

Nie za to ujść możesz piekła
I wieczna przygarnie cię chwała,

Coś, duszo ma, śmiele wyrzekła —
Lecz za to, coś mężnie zmilczała...

*

Niewdzięczny zemnie dziś widz
Na życia sztuczydle złem;
Nie zdaje mi się już nic,
Na pewne — zbyt dużo wiem!

*

Coś z mego słowa, coś z myśli mojej,
Może się przecie śmierci ostoi
I znak da o mnie kwitnący światu —
Wszak ziarno nigdy nie widzi kwiatu...

*

Nie dziw się, serce me, czemu
Dośniony sen twój! I cóż?
Dziś śni się komuś innemu...
To przecie proste — jak nóż.

*

Nie dziw się serce, nie dziw niczemu,
Ni że mróz bierze, ni że las płonie!

Nie dziw się złemu, nie dziw dobremu;
Sens wieczny jeden w życiu, czy skonie,
Ścieżka ta sama wiedzie ku niemu...
Nie dziw się serce, we mnie, ni w dzwonie,
Nie dziw niczemu!

PENELOPE.

Wielkie bogi! Wejrzyjcie na moją żałobę!
Krzyku mi oto w piersiach i łez już nie staje,
Odkąd w boje na Ilion, łodzie krasnodziobe
Króla mego i pana poniosły z Achaje!
Małoż tu krwawych ofiar, o Kronido! — powiedz,
Odys ci ongi święcił, mąż nieodpłakany?!
Małoż wołów bił tucznych i białych jałowic?
Nie szłyć z dymem, na żertwę, kozły i barany?
Więc policz ty je! Wszystkie — młode, nieszczędzone!
I kiedy w proch przed tobą padam na oblicze,
Za sławne męża cnoty, mnie dziś ratuj, żonę —
I słuchaj, mocny boże, gdy do ciebie krzyczę!
A ty — czyś żyw jeszcze, czy trup już — Laertydo!
Przybywaj straszny, w twojego proga odźwierze,
W dwór, co bez pana — plugawion gachów ohydą,
O pomstę woła! Słyszysz?! Sama już nie zdzierżę!
Jak mątwa ośmiornica, gdy kości zdruzgota,
Głodna — żer ułapiwszy, do mięsa się przyssie,
Tak dławi dom nasz święty sobacza hołota!
Gdzie łuk twój krzywy?!
Odyssie! Odyssie!

NOC.

(marmur Michelangela w San Lorenzo).

Otom syta istnienia, łez syta i wzgardy.
Wiem wszystko, więc o wszystkiem godnam
milczeć oto.
Nieśmiertelnam piękności grozą i martwotą —
Myślą byłam — głaz jestem, jako dola twardy.

Nie ja mówię, lecz ust mych zwarcie i niemota.
Krzywdzie czyjejś tu świadczę, czyjś bunt ścichły
znaczę,
Wyczerpania omdlałość, żal co już nie płacze,
Swych nadziei zaparte obaczywszy wrota...

I niech nikt ciszy takiej współczuć się nie waży!
Tać jest, co sobie sama dostoi na straży,
Wielkości własnej dumą broniona zazdrośną;

Krzywda, jak wolność święta, można jak przywilej —
Iż są, którym nad miłość waszą — swoją milej
Przenieść krzywdę... Możecie mówić, choćby głośno!

BEATA BEATRIX.

(obraz D. G. Rossettiego).

Nieprawda! Niczemu nie wierzcie!
Anim szczęśliwa, ni błogosławiona!
Ja tylko zasypiam nareszcie —
Prosta dziewczyna zmęczona...
Ja tylko opuszczam ramiona,
Jak ci, co sto mil uszli
I ani dobrze, ni źle mi...

Niema mnie już na ziemi,
Nie będę nigdy w niebie;
Jak ciemnej, ciężkiej muszli
Dziś słucham samej siebie.

Nie moja na słonecznym zegarze,
Nie twoja się ściele godzina!
Choć serce już zapomina,
Ja grzeszna, zmęczona dziewczyna,
Ja tlę się jeszcze i żarzę.
Nie twoja, nie moja wina,

Czas zasnął na słonecznym zegarze!

Coś mnie po ręku łechce,
Jak piórem muska, czy kwiatem...
Niczego niechcę — niechcę!
Na ziemi, czy na niebie
Jest sen — i nic poza tem!

Ja tylko opuszczam ramiona,
Jak ci, co sto mil uszli,
By słuchać samej siebie,
Jak ciemnej, ciężkiej muszli...

SEN-ZIELE.

Głębokim snem śpi zaklęta królewna
Na zamku obrosłym głogami,
W kryształowej trumnie,
W koronie i gronostajach,
Przecudna, bezbronna
I czeka...

A smok tuczy się dalej bezpieczny,
Bo wie,
Że nierychło urodzi się taki junak,
Co z mieczem i pocałunkiem
Tu zdąży.

Wśród najcichszej nocy
Nie zasłyszy nikt
Tententu siwka złocistogrzywka,
Ani kogo doleci szczęk zbroi
Budzących się w Tatrach
Rycerzy...

Wszystko śpi,
Aczkolwiek wróg ciągnie z oddali
Już widny!

A we dnie, ptacy polni,
Drą się w niebogłosy od świtu —
I Baba Jaga w słodkim deszczu
Prześwieconym słońcem,
Robi masło i plotki,
A głupi Maciuś wypił w borze jajo,
Z którego kiedyś ulądz się miał
Żar Ptak...

Sen-ziele rośnie jeno bujno po łąkach!

SZEŚĆ WIERSZY.

Przed Stefana Witwickiego młodzieńczym portretem składam.

I

Kiedy zimowy, wczesny zmierzch się czyni,
Słucham pociemku jak gadają rzeczy.
Szeleszczą barwy na krakowskiej skrzyni,
Kantorek trzaska, złoty zegar skrzeczy;
W piersiach gitary drżą, jak wieść z nad Lety,
Dziewczęcych westchnień niedomarłe echa,
A stary portret młodego poety
W mroku ślicznemi usty się uśmiecha.
Łopot płomyków na kilimka pąsie
Słyszę — i różne, różne dziwy śnią się...

Niemam z kim gadać. Wiem że nie zadzwoni
Nikt, komu spieszno do mnie o tej porze.
Wiem, że nie przyjdzie — więc świat sobie tworzę,
Dawność kochaną, com jest szczątkiem po niej,
Z książek, obrazów, zwierciadeł, mahoni —
A gdy tęsknotą pustkę tę zaludnię,
Rojno znów przy mnie i swojsko i cudnie...

Tyftyka płowe muskając palmety,
Myśl rada, gościom naprzeciw wychodzi,

A stary portret młodego poety
Po ciemku zawsze uśmiecha się słodziej.
Żadna mnie odeń już nie dzieli rama.
Wszystko się wokół budzić zdaje... Ciemnie
Pełne są życia co uchodzi zemnie,

Gdy zwolna, rzeczą, staję się ja sama...

2

Patrzę w te oczy, nieznajome zgoła,
A przecie uśmiech drogich ust poznaję
I brwi rozpięte na jasności czoła
I młodość własną, co się sercu zdaje,
Ostatni, dziwny raz — z tem malowaniem...

Najsłodsza jakaś przybłąkana chwila,
O pierś mą bije skrzydły jaskółczemi!
I coś się gmatwa, coś się śni, zamyla,
Coś z rosy nieba, coś z płomienia ziemi,
Wzrokiem do płótna przypada rozpacznie...

O, czyżby serce szalone do tyla,
Odżyło wiarą, że — uwierzyć zdoła,
Że się na nowo tamto życie zacznie
I że się z więzów czasu wydostaniem,
Ostatni, dziwny ten raz, przed skonaniem?!

3

Nigdy dość z tobą wzrok się nie nawita,
Ni się z twą duszą nagadam do syta,
Ni pojąć zdołam żeś był rzeczywiście!

Wytworny — w białym na szyi batyście
I w ciemnomodry odzian frak z epoki,
Tej, co się w szale stroiła i loki,
Datę swą znacząc na poległych liście
I łamiąc białe wśród olszynki ręce...

Dziwne nad sercem czynisz mem uroki,
Ław krzemienieckich uczniu smutnooki,
Żyw dotąd w młodej Szopena piosence!

I dziś, gdy doba u proga złowieszcza,
Tamtej, minionej, głusząc ton wysoki,
Bezcennem czyni dobro postradane,
Wszystek się dla mnie wdzięk jej w tobie streszcza,

Cieniu, coś raczył paść na moją ścianę!

4

Kochałam ciebie — i chcę byś o tem wiedział.
Wszak nieraz słowo za wiek milczenia stanie!
Dziś ci je rzucam, przez lat i losów przedział,
Przez step tęsknoty, przez mroczne dusz otchłanie,
To słowo późne jak noc i pożegnanie...

Bez lęku patrząc w twych młodych ócz zadziwy,
Rzec ci je mogę, bom ptak jest przed odlotem.
Mój sad sprzątnięty, zwiezione zboża z niwy —
Żeś mi zachodu i rosą był i złotem,
Kochałam ciebie — i chcę byś wiedział o tem!

5

Pożółkłe twoje książczyny,
Nikomu dziś już nie znane,
Jak opatrunek na ranę,
Na serce kładę i czule
Do piersi garnę i tulę,
Żałobne i zapomniane.

Raz po raz, coś w ich bibule,
Myśl, uśmiech, czy mądrość rzadka,
Jak wiotki liść koniczyny,
Lub smagłe oblicze bratka,
Zwiędłe na sercu książczyny,
Mignie pomiędzy kartkami...

Ten jeden czasem jedyny,
Ślad szczęsnej, krótkiej godziny,
Co prawdą była i nami
I ducha wzywa na świadka —
I samiśmy z sobą dziś, sami,
Na zawsze i do ostatka!

6

Dalekam od mej doby,
O tysiąc mil dalekam,
Z dni dawnych same groby,
Dni nowych nie doczekam!

A kładka między niemi,
Po której iść się boję,
To dziś, co się obcemi
Oczyma patrzy w moje...

III.

O DAWNYM LWOWIE

ZADUSZKI.

Co roku, między groby nieciekawe, bo obce,
Dróżką tą samą, w Zaduszki,
Szłam z Tatkiem i Mamą,
Malutka, z wiankami,
Za nami obie staruszki.

Widzę ich wszystkich jak dzisiaj!

Ciocia, przygarbiona ku ziemi,
Kłębuszek w sutem futerku lisiem
I Babcia, z wargami jakby pacierzem drżącemi
Bez przerwy,
Prosta, w czarnej aksamitnej salopce.

Do Grottgera szło się zawsze najpierwej.

Wiedziałam, że Mama,
Nim ucałuje kamień,
Nim na grobie rozłoży wieńce,
Wpierw zawsze zdejmie rękawice,
Z płyty i obramień
Dłońmi liść suchy odgarnie,
Wyjmie zapałki i świecę
I sama zapali latarnię.

Tak dobrze pamiętam jej ręce,
Ręce z Lituanii i Wojny!

A potem dalej drogą,
W górę, wśród ciżby rojnej,
Ścieżką co w prawo skręca,
Do prababki i pradziadka Wentza.

Znałam ich tylko jak z cieni,
Dwa czarne w ramkach profile,
Gdy blisko nie było nikogo,
Z nad łóżka cioci Tereni,
Do ciepłej dziecinnej dłoni,
Pospiesznie brane na chwilę,
Ze sercem trwogą płoszonem...

Wiedziałam że czarny ten pan
Bił się z Napoleonem
I długo umierał z ran...

A potem — już tylko oni,
Ci, co pomarli maleńcy,
Braciszek Bolcio i siostrzyczka Joczka,
Co mieli duże niebieskie oczka
I jasne włoski...

Zresztą, nikogo więcej...

A prawda! Jeszcze ten w pobliżu,
Wąski grobek z paletą na krzyżu
Z napisem: Marcel Maszkowski.

Tatka przyjaciel, kolega,
Mieszkali razem w Monachium;
Rysował — jak nikt.
Sławnie tańcował mazura,
Wszyscy go lubili pasyami —
Brakło mu zawsze na czynsz i na wikt,
Ale humor miał złoty —
(Teka z jego szkicami
To ta wąska, bura!)

Umarł dawno, młodo, na suchoty.

— — — — — — — — — — — — —

Co roku, w Zaduszki,
Idę tą samą drogą,
Lecz niema już zemną nikogo
Na szlaku stromej dróżki.
Nim kiedyś także tu spocznę,
Zapalam światła coroczne
Sama.

Śpią wszyscy... Ojciec i Mama,
Śpią obie dobre staruszki —

I tyś tu spoczął — i ty!
Wy wszyscy moi,
Których mi pamięć jasna,
Jak płomyk na oczach stoi,
Jak płomyk bez przerwy
Drży —

Do Grottgera idę zawsze najpierwej.

POZNANIE.

Raz mnie wzięli — pamiętam oczyma —
Rodzice,
Miałam wtedy kuse trzy lata
I weszli zemną w jakąś kamienicę,
Była narożna i popielata,

Dziś już jej niema.

Schodami
Szło dużo ludzi z nami,
Do pokoju gdzie się paliły świece.
Nie wiedziałam czy to dzień, czy noc,
Bo okno zasłaniał koc,
Ale jak od choinki,
Było całkiem jasno.

Ludzie tam stali,
Jedni przy drugich, ciasno,
Sami dorośli.
Pośród zielonych zarośli,
Koło jakiejś długiej skrzynki
Starsi panowie płakali...
Nie mówiło się dzień dobry nikomu,

Trzymałam się mocno Tatka
I bardzo chciałam do domu...

Lecz nie pisnęłam nic.

Urzekł mnie migot świec,
Gęsta, jarząca rabatka,
Dziwiły wianki zielone,
Większe od mojej obręczy,
Wstążki aż do ziemi zwieszone,
Szerokie, białoczerwone
I wąsate między cierniami kłoski...

Widziałam że wuj Pawłowski,
Pani Janowska z panią Jezierską i Mama,
Na gołej podłodze klęczy —
I mówią pacierz — pewno do tych świec?

Nie rozumiałam nic.

Wtem, ktoś, niewiem sama,
Może dziadzio Darowski,
Może pan Żuliński Tadeusz, a może Tatko,
Nagle — podniósł mnie z ziemi
I rękami mocnemi
Podtrzymał blisko,
Tuż przed tą świecącą rabatką,
Nad wielką, długą kołyską,

Pełną kwiatów i poduszek,
Na których cicho spał jakiś obcy staruszek...
Na piersiach miał krzyż
I obrazek między kwiaty wetknięty.

Trzymana przez czyjeś mocne ręce,
Zahaczona o jakiś czarny kołnierz,
Jak lalka w krótkiej sukience,
Wysoko nad ciżbą czamar i peleryn
Zapytałam:

— „Czy ten dziadzio to święty?"

Na to ktoś z tych co najbliżej stali:
„Nie mała, to żołnierz!
Polak co bił Moskali
I pisał wiersze.

Nazywał się Goszczyński Seweryn.

Teraz umarł i poszedł do nieba.
Dobrze się przypatrz mała,
Trzeba żebyś zapamiętała..."

Nie rozumiałam nic.

A jednak — ten dźwięk nazwiska
I ta rabata świec,

Ta długa w kwiatach kołyska,
Umarły żołnierz — Moskale — i wiersze,
To było ze śmiercią i Polską
Moje poznanie pierwsze.

Nie zapomniałam nic.

PAN TEPA.

Pan Tepa bardzo pięknie malował akwarelą,
Sam piękny o bujnej fryzurze,
Z hrabią Potockim za młodu,
Odbywał dalekie podróże;
Jeździł między Araby i Kopty,
Zwiedził Grecję, był na Cyprze i Malcie,
Lubili go wielcy panowie,
A potem — po latach, we Lwowie,
Przynosił mi w starem palcie
Biszkopty...

Zawsze gdy nadszedł wieczorem,
Kaszlący, przeziębły do kości,
Cały nasiąkły szarugą,
Wiedziałam że potrwa długo
Nim wytrze sterane trzewiki,
Odmota wszystkie szaliki,
Ogrzeje się i rozgości —
Że wtedy dopiero mocno
Oburącz, za rękaw go złapię
I siądziemy we dwoje
Pod lustrem na kanapie.

Wielkiej był poczciwości!

Starsi mówili, że jest nieco dziecinny.
Mnie pan Franciszek zdawał się w sam raz,
Ciekawy jak nikt inny.
Nie spieszył się, miał czas —
A opowiadał tak, jakgdyby farby nakładał,
Jakby od tego padał
Cień palm i tamaryszek
I morze się widziało w słońcu
Przez platany...

Najchciwiej lubiłam słuchać o Egipcie.

Wtedy pan Tepa, w biały burnus odziany,
W arabskie na stopach krypcie,
Brunatny jak Arab sam,
Szedł przodem, a ja, tak jak stałam,
Mrużąc oczy od blasku,
Jego śladem, po gorącym piasku,
Szłam i widziałam:
Cień oliwki, pełny słonecznych plam,
W który ongiś, przed południa wrzątkiem,
Kryła się Matka Boska z Dzieciątkiem,
Wyspę File, jak w Nilu cień świątyńki macza,
Piramidy, wielbłądy, łeb sfinksa głowacza,
Ruiny starych Teb, co miały aż sto bram...

Albom patrzyła, od słońca półślepa,
Jak, to

Hen w Abu Simbel, za drugą kataraktą,
Siedzą cztery kamienne kolosy,
Cztery święte, uśmiechnięte głazy,
Cztery święte, utrącone nosy,
Te same cztery razy —
A pan Tepa,
Wysoko na skalnym wydmuchu,
Siedzi rozparty w Ramzesowem uchu
I patrzy w dół jak cudnie błyszczy woda...

Lecz najciekawsza napewno,
Była przygoda z królewną.

Raz, gdy już hrabia ze świtą
Obejrzał groby, które świeżo odkryto
I wszyscy ku wyjściu poszli z pochodniami,
Pan Tepa z egipską królewną,
Przez chwilę zostali sami...

Umyślnie pozostał w tyle.

Rączka mumii, choć sztywna jak drewno,
Ledwie trochę z plecionek odwita,
Zdobna w zielony pierścionek,
Była drobna i uroczo wąska...

Cóż prostszego? Ułamać i kwita!

Nikogo blisko niema,
Nikt nie odpyta... Ułamie!
Wyciągnął prędko ramię —

I chrupnęło, jak sucha gałązka...

Ma ją, jest! Tylko się trzyma
Na jednem lnianem pasemku...
Ciął scyzorykiem po ciemku
I schował w fałdy burnusa.

Za mocna była pokusa!

Każdym razem, razem z nim,
Czułam ów głos, co szeptał cichym nakazem:
Ułam!
Ułam i zabierz!
Więc ułamał i wziął,
A później tłomaczył w żarcie:
— „Zapewne, to była grabież,
Wiem,
Ale czyż mógł malarz, otwarcie,
Prosić o rękę królewnej?!"

— — — — — — — —

Raz zimą (byłam podlotek już spory) —
Dano nam znać że pan Tepa chory.

Zmartwiona, poszłam do niego z Tatkiem.
W pracowni — klitce na Sykstuskiej,
Dyszał płuc ostatkiem.

Leżał na nim jaskrawy, dziurawy kilim ruski,
A chory, w domowej kurcie,
Na stercie zmiętych poduszek,
Tulił swoją małą Kadurcię,
Wyżlicę o puszystej sierci,
Zwiniętą w ciepły kłębuszek.
Leżał z otwartemi oczami,
Z głową do śmierci piękną
I pewno ucieszył się nami,
Bom widziała jak mu rysy miękną,
Ale mówić już nie mógł.
Zresztą w nogach łóżka
Siedziała brudna stróżka.
Zimno było, jak w krypcie...

Wszak dawno palił już tylko snami o Egipcie!

On, co malował Araby i Kopty,
Żył cały w słońcu, sjenie i kobalcie,
Lubili go możni panowie,
A potem, w starem palcie we Lwowie,
Przynosił dla mnie biszkopty...

Po ścianach znajome obrazy,
Na półkach, między farbami,
Widziane tyle razy,
Wszystko leżało jak zwykle.
Mumia kota, której dzieckiem lubiłam się bać.
Stare pieniążki, jakieś drachmy, czy sykle,
Ukraińska bandurka,
Szara jak zwitek sznurka,
Róża jerychonka,
Gdzieś nad Jordanem zerwana...
Skarabeusz z modrej glinki, olbrzymi
I ona — tak dobrze znana,
Rączka mumii z palcami smukłymi,
Z zielonem okiem pierścionka!

Dziś leży w Ossolineum,
Za szkłem, u drzwi do Muzeum.

Długo musiała Tępą gardzić Faraonka!

Ale teraz, wiem o tem napewno,
Skoro tylko się dowie,
W jakiem zimnie we Lwowie
Stary malarz umierał —
Nad egipską królewną
Skrzypnie złoty futerał,
Mumia dłonią jedyną zatrzepie,

W piasku ciepłej czeluści,
Z dreszczem wspomni o Tepie —
I wiem o tem królewno
I wiem o tem napewno,
Że mu dusza twa smagła odpuści!

TAMTEN ŚWIAT.

Co niedzieli, wieczorem, od lat,
Bywaliśmy tam wszyscy,
Znajomi dalsi i bliscy,
Sami tacy,
O których wtedy mówiło się jeszcze — rodacy.

Poprostu — tamten świat.

Ciemnawy salon, młodzież, panowie i panie,
Co tydzień ta sama gromadka.
Stare sprzęty, fortepian
I ciemne portrety na ścianie:
Nieboszczka pani Żulińska matka,
Patrząca z obrazu w dół
Spojrzeniem jakby krepą zasnutem...
Doktor Tadeusz nieboszczyk,
Jeszcze wówczas żyjący pan Józef,
Profesor — i on — Roman, ich brat,
Stracony w Warszawie z Trauguttem...

Poprostu — tamten świat.

Przed główną kanapą stół.
Gwiazd szydełkowych całe konstelacje,
Świeże dzienniki i stare albumy.

Lampa na wysokim z bronzu postumencie,
A wokół panowie,
Wciąż o czemś radzący zawzięcie.

Starsze panie na kanapie słuchały.

Zawsze jakieś uchwały i racye,
Jakieś nowiny...
Wczoraj w teatrze na „Kościuszce“ tłumy!
Nowa, polakożercza w parlamencie mowa,
Hurko — Bismarck — Sejm Rzeszy,
Śląsk — rocznica styczniowa
I w katedrze Msza święta żałobna...

Kogoś jakiś objaw nie cieszy,
Ktoś coś głośno tłomaczy,
Ktoś dowodzi inaczej —
Inny z gniewem krzyczy: Niepodobna! —
A każdy z osobna czuł,
Że serca mądrością bezwiedną
Kochają wszyscy — jedno.

Ktoś przyszedł. Krótka pauza — a potem od nowa:

Nagła składka, czyjś pogrzeb, jakiś jubileusz,
Niepoprawne krakowskie Stańczyki,
Ostatnie z Paryża dzienniki
I coś na ich łamach,

O czem oddawna mówił pan Tadeusz,
Najnowsza kronika Lama,
Ostatni — nieudany — w Petersburgu zamach
I list od pana Kornela,
Z Pawłowa...

Zawsze jakieś nowiny i racye,
Czyjeś doniosłe słowa —
Taka niemal bywała każda niedziela;
A wreszcie pani Łucia prosiła na kolację.

Jadło się spiesznie, w lot, jak na popasie.
Herbata w szklankach, masło, chleb, salami,
Mało kto mówił i tylko chwilami
Przez drzwi,
Słychać było półsenne, dziecinne głosy ptasie
I czyjeś trwożne: Cicho! Tadzio śpi! —

A potem,
Kiedy już goście byli w salonie z powrotem,
Pan Konopka ponury, z powstańczemi butami,
Długowłosy, w podszarzanej czamarze,
Artysta wielu scen,
Patrzył ogniście w uciszone twarze
I choć wszyscy wiedzieli co powie,
Czekał każdy, pełen solennej grozy...

Mroczne jak sen,

Znajome portrety na ścianie,
Młodzi pod ścianami panowie,
Starsze na kanapie panie
I my, trzy kozy,
Zaszyte w zwykłe koło szaf schowanko,
Kazia Winnicka i ja, z Jadwisią Zielonczanką.

Pan Józef obok żony,
Jasnej pani Łucyi
I baczna grupka mam,
Dziadzio Mieczysław Darowski
I pan Apolinary Stokowski,
(Ten sam,
Co od lat, w dzień Trzeciego Maja,
W czarnym, żałobnym kontuszu,
Siwy — z zacięciem zawsze nieco krewkiem,
Garstce rodaków na lwowskim ratuszu,
Na wieży, wysoko pod lewkiem,
Czytał Akt Konstytucyi...)

Cały już salon w piersi dech zataja.

Słuchał pan Giller Agaton
I pan Kostecki Platon
I pan Józef Kajetan Janowski —
A pan Konopka twardo wyrąbując zgłoski,
Deklamował — Maraton...

Poprostu — tamten świat.

Grzmiał pan Konopka,
A każdy widział doskonale,
Że nie szło nikomu wcale
O żadne Persy, ani stare Greki,
Ale o ten, z przestrzeni lecący dalekiej,
Czekany uparcie od lat —
Czyjś oddech, radością śmiertelną zdyszany,
Niosący wieść o wygranej!

BRAT ALBERT.

Dawno, w Zielone Święta,
Na Zimorowicza, pod szesnastym, we Lwowie,
Późne popołudnie.

Czasem — coś się tak mocno spamięta,
Czasem — coś się tak samo opowie...

W domu było pusto i nudnie,
Mama miała ból głowy,
Spuściła obie story i spała.
Wszyscy się porozchodzili,
Józia na nieszpory,
Potem Tatko do cioci Mili,
Potem Babcia na kawę do pani Płażkowej,
Z Adasiem.
Zostałam z lalkami, sama jedna na ganku.
W koszyku, bez przestanku,
Chrapała Katula, jak biały zarękawek
Zwinięta.

Cóż z tego, że były święta?

Jeszcze w tym czasie pod nami,
Nie mieszkali państwo Bełzowie.

Jeszcze Adaś chodził w różowem ubranku,
Jeszcze widok daleki, wesoły,
Z naszego ganku
Na kopiec i wszystkie kościoły,
Aż po cesarski lasek,
Nie zarósł jak dziś, dachami;
Przestrzeń aż za rogatki
Widniała w słońcu niebieska,
Na deskach skrzypiał szuwar i piasek,
A u żelaznych balasek,
Wedle zwyczaju,
Więdły gałęzie maju...

Podwórze cień już zaległ
I tylko górą jeszcze jaśniały tynki:
Słychać było granie katarynki,
Ciepło biło od ścian,
W konewce pływał chrzan...

Siedziałam sama wśród lalek,
W nowej sukience w kratki
Od chrzestnej matki, Leoni —
I przez gałęzie drzewek, popod osłonę dłoni,
Patrzyłam daleko, na miasto,
Jak błyszczy Piaskowa Góra,
Jak się iskrzy na ratuszu lewek...

Biła godzina — wszystko jedno która!

Stłoczeni w zielony kąt,
Szklanym wzrokiem patrzyli także na miasto,
Strojna Karolcia w chmurze loków blond —
I gapił się wyłupiasto,
Władzio przytulony do niej,
Kochany, choć łysy do karku...
Oboje, we dwoje, jadący parą koni
W śmiesznym wózku z pod Jura,
Malowanym w gwiazdy i pstre pawie pióra—
Kupionym na jarmarku;
A dalej w gali, czekali:
Szarfą ze złotej lamy przepasan,
Mój niewolnik, smagły arab Hassan,
Własnoręczne arcydzieło Mamy —
I Minka, z buzią drobniutką,
Różową jak malina, lalka jeszcze mamina,
Którą tylko w niedzielę, czasami,
Dostawałam do zabawy na krótko.

Wtem,
Nim się szczeknąć zechciało Katuli,
Nim zjeżyła wszystkie białe włoski,
Z przepaści schodów głębokiej
Zasłyszałam kroki,
Poznałam stukot kuli.

Szedł pan Adam Chmielowski.

Stukał drewnianą nogą,
(Swoją utracił dawno w powstaniu...)
Drugą, własną włóczył posuwiście,
Szedł po schodach powoli, z ostrożna,
Jak ktoś, co się z trudem pod górę,
W zaciężkiem ubraniu gramoli.
On, napewne... Do nas oczywiście.

A tu w domu ze starszych nikogo!

Przyszedł. Nie było rady.
Mamy przecie budzić nie można...
Gankiem, wzdłuż balustrady
Wlókł kroki, brodaty, wysoki,
Już zdaleka uśmiechnięty miło.
Więc grzecznie i odważnie
Powiedziałam jak było.
Malarzy się nie bałam.
Każdy malarz był Tatka kolegą —
Artysta!

A pan Chmielowski malował —
I to świętych przeważnie.
Nawet Józia jednego razu,
Uroczysta od rana,
Siedziała mu biało ubrana,
Do świętego obrazu...
Rodzice zresztą, wiedziałam,

Bardzo kochali pana Chmielowskiego,
Więc i ja się nie bałam.

— „Tatko już zaraz przyjdzie... Tak ładnie na
dworze!
Proszę usiąść... Kanapka jest czysta,
Właśnie wczoraj szorowana...
Tylko pewno za niska dla pana?“
— „Ale gdzietam! lepsza być niemoże!“
I siadł ze sztywno wyciągniętą kulą,
Między mną i lalkami, majem i Katulą...

Mówiliśmy o tem i owem —
I gdy tak słońce gasło niedzielne nad Lwowem,
Nim ciepły wieczór domowe kąty zaległ,
Nim w cień zapadły ganki i mezzanin
I jeszcze wszystkie szyby poprzez majowe pręty
Gorzały naprzeciwko,
Gwarzyli sobie wśród lalek,
Uważna mała dziewczynka,
Z czarną po oczy grzywką
I przyszły polski święty,
Przychylny słońcu i dziecku,
Jeszcze wówczas odziany po świecku —

Brat Albert, franciszkanin...

PANI ASZPERGEROWA.

Gdym ją — mała — poznała,
Twarz jej była już zmarszczona i biedna,
Taka, jakiej już żaden uśmiech nie odmłodni,
Tylko w niej czarne oczy błyszczały jeszcze
Jak dżety.
Pewno były dużo ładniejsze kobiety od niej,
Ale ona, była tylko jedna.

Często do loży, chociaż dziecko, brana,
Widywałam panią Aszperger na scenie.
Tyle lat — a przecie pamiętam wrażenie
I głos, co nagle mroził wszystką krew —
Choć ledwie śniłam o co w sztuce chodzi —
Ten jej głos, sam w sobie czarodziej
I ten wstrząs cudnego przestrachu,
Choć siedziałam blisko przy rodzicach,
Jeszcze wtedy w starym gmachu Skarbka,
Gdzie już dzisiaj kręcą kino „Lew"...

Była wielką, wielką artystką!

Wisi w Sukiennicach
Portret jej w złotej ramie,
W krynolinie błękitnej jak farbka,
Malowany przez starego Rejchana.

Niech się kto czasem pokłoni tej damie!

W rotundzie z popielic, duża i dostatnia,
Przychodziła do rodziców we czwartki,
Z gości zawsze ostatnia;
Strojna w czarny jedwab i liljowe kokardki,
Ze złotą pod szyją broszą
Jakich już całkiem nie noszą;
Pachła mocno piżmem i paczulą
I zawsze w przedpokoju
Witała się najpierw z Katulą.

Katula była siostrą jej Nolki
I Kadurci, danej panu Tepie.
Z trzech sióstr, Nolce było stanowczo najlepiej...

Głos matki Balladyny, głos Rognedy i Marty,
Dźwięczał niski, wspaniały, ten sam,
Znajomy ze sceny otwartej —
I zawsze mi była jak obraz
Wypadły nagle z ram
I zawsze patrzyłam w trwodze,
Jak idzie po zwykłej podłodze...

Zresztą, była prosta i dobra,
Czasem nawet figlarnie wesoła.
Zajmowały ją fraszki i moda,
Fryzowała siwe loczki u czoła,

Bawiła się Nolką i kotką,
Jadła mało, wybrednie i słodko —

I szkoda,
Że z ludzi, którzy jak my,
Nie znali staruszki od lat,
Żaden nie byłby zgadł,
Jaką do śmierci, wrzącą była Polką,
Jaką ofiarną, czujną patryotką —
Jak się wiecznie turbowała sprawą,
Jak na lewo i prawo,
Cichaczem,
Wspomagała rodaków nędzarzy —
I jeszcze żaliła się z płaczem,
Że na wszystkich nie starczy jej gaży...

Niewiem jaka była przyczyna,
Że się pani Anieli szło życzyć na Kwiryna.
Dość, że co roku w marcu, trzydziestego,
Gdy Tatko już związał krawat
Z większym niż zwykle wykwintem,
Mama w jasnej zarzutce
I ja z pięknym hiacyntem,
Szliśmy na imieniny.
Gmach Skarbkowski, drzwi na trzeciem piętrze,
Wrzask papugi — i to jedyne wnętrze...

Wszystko w lustrach odbite zawrotnie,
Wszystko — dawno znikłe bezpowrotnie...
Goście, albumy, palmy, etażerki,
Szklane oczy wypchanego pieska,
Żurnale dawnych mód i saskie pasterki,
Na dużej fotografii pani Modrzejewska —
Co rok, ten sam kolorowy tłok —
A górą, pociemniałe brunatnie,
Wieńce z lauru — pewno te ostatnie...

Aż pod sufit obrazy... Różne, a wśród nich,
Nisko nad sofą, ten najmilszy właśnie,
Gleyra widmowy sztych,
Na którym dzień już gaśnie
A wszystka radość w zaświaty
I młodość i śpiewanie,
Odpływa w barce dziobatej,
Na fali precz odbiega,
A poeta u brzega,
Już stary — zostaje nad harfą — sam...

Tak dobrze sztych ten znam —
Wszak wisi dziś u mnie na ścianie!

Zawsze na pożegnanie po fecie,
Mimo gwaru i gości,
Dostawałam śliczności,
Pakiet szmatek dla lalek;

Adamaszki, kitajki,
Strzępy sukien jak z bajki —
Szekspirowskie, fredrowskie —
Resztki dawnej świetności,
Zwinięte pospiesznie w gazecie...

A potem, po latach wielu,
W koronkach i bladym fiolecie,
Była jeszcze na mojem weselu.

— — — — — — — — — —

Ostatni raz ją widziałam w roli tytułowej,
Gdy czarny wóz — wiózł na Łyczaków
Trumnę Aszpergerowej.
Pogoda była podła,
Poprostu psi czas —
Ale publiczność jednak nie zawiodła!
Przyszła ostatni raz.

I patrzył tłum rodaków,
I wierna dusza Lwowa,
Jak się z ostatnią sceną
Żegna Aszpergerowa...

Jak oto w śmierci kulisy otwarte,
W zapadnię wiecznego snu,
Niosą Rognedę i Martę,

Księżnę z komedyi Sardou,
Wszystkie, nieprzeliczone
Żony, kochanki, matki...
A tłumy widzów skupione,
Ściszone szepty warg,
Żegnały lady Makbet i Gwinonę
I matkę Balladyny i Joannę d'Arc...
Maryę Stuart i królową Elżbietę —
Posągi Medei i Fedry,
I pierwszą Klarę Fredry
I tę starą umarłą kobietę,
Co dla lalek dawała mi szmatki...

I nagle mnie opadła trwoga nierozumna:
Jakże tyle postaci pomieści — jedna trumna?!

IV.

GODZINY ŁASKAWE

NIEWIEM...

Niewiem jaki tam będzie świat wtóry,
Jakie grzesznych radości ominą;
Moje niebo musi pachnąć świerczyną,
W mojem niebie będą lasy i góry —
I rzeka tam szumieć powinna,
Ta jedna jedyna, ona,
Jak żadna inna
Zielona...

DEMNIA.

Między dwiema zboczami lasu droga bita,
Rzeka — i nad tartakiem biała dymu kita.

Deski pachną... Deskami zabity mój świat!
Lato — a ja mam znowu tylko dziewięć lat...

Popołudnie po deszczu... Już piąta godzina!
Na słupkach popielatych lekki dygot wina;

Z ganku w ogród dwa schodki, jeszcze mokre nieco.
Słońce! Na białych różach szklane kule świecą.

Stoję chuda, ciekawa, z wyciągniętą szyją,
Naprzeciw w małych domkach podwieczorek piją;

Od sztachet, z za gościńca, ciągnie bronzowawy,
Przypalony, gościnny zapach świeżej kawy...

O STO MIL.

W nieznajomym pokoju nakryty już stół.
Na kolistej obrusa ciemnieje białości
Czarny serwis w gałązki jakichś bladych ziół.
Filiżanki złocone — pewno te do gości!
Chwila pachnie przyjazdem, witaniem, odmianą...
Przecieśmy dziś we Lwowie byli jeszcze rano —
Aż się w głowie zawraca od różności tyla!

Dotąd stół ten mam w oczach i czajnik pękaty,
Te na czarnych talerzach malowane kwiaty —
I więź mokrą róż pustych, białych z sercem złotem.

O jakżem ja te róże miała kochać potem!

Wtedy — jeszczem się w domu nazywała Lila —
I o sto mil daleki był odemnie czas
Gdy się człowiek sam z sobą wita pierwszy raz...

DRZYMKA PRÓSZY...

Tak już późno... Takam śpiąca!
Miał król Ćwieczek córki dwie —
W samym środku bajki tkwię,
Znam początek — niewiem końca.
Coś splątało mi się wspak,
Poszło na dno w pąs kilimka —
Nie pamiętam co i jak...

Ze ścian, złotem prószy drzymka...

Nocą pachnie... Dzienny skwar
Nagrzał deski ciepłem swojem,
Kolorowe się ze szpar
Krasnoludki sypią rojem...
Z półek, stołów, okien, dziur,
Tłumik ciśnie się maleńki,
Na Ćwieczkowy patrzą dwór
Osłupiałe w deskach sęki...

SWATY.

Dadzą tobie krasnoludki
Złoty pasik, złote butki,

Wybudują z szyszek dom,
Każą strzec go białym ćmom,

Szatkę tobie dziwożonka
Z łąkowego skroi dzwonka,

Ślubny welon pająk utka,
Pojmiesz męża krasnoludka,

Będziesz panią nad paniami,
Nad grzybami, malinami,

Każdy mokry ślimak w jarze
Zaraz rogi ci pokaże,

Co noc paproć ci zakwitnie
Rubinowo i błękitnie...

CZAS.

Pogoda! Niebo bez chmurki! A na niem,
Przybladły krążek mokrego dukata,
Zaranny księżyc wisi nad Horbaniem.

Zaraz za drzwiami pachnie chłód poddasza,
Schnie kąpielowa bielizna na sznurze,
Śpi strych — i stara kotka popielata
I świerszcz i kuna o śliskiej figurze,
Jędza, co dobre koszatki wypłasza
Z tego tam kąta, gdzie zawsze najciemniej...
Sam tylko rzeki słychać szum przez gonty.

„Która?" — „Czas! śpij-no! Ledwie pół do piątej!"

I czuję wszystko... Za oknem daleko,
Las i miasteczko, strzępek mgły na Demni,
I tej pogody niebieskość radosną,
Barwy na górach przydymione mleko —
I że po deszczu nowe grzyby rosną
I że na żółtej sofce mej się mieszczę

I w tartaku na piątą nie trąbili jeszcze...

DO BUBNISZCZ.

Czy to mną radość, czy ten wóz tak trzęsie?
Czy to mnie śni się, czy ja temu śnię się?

Kosze, samowar, bułki, koc znajomy,
Wóz drabiniasty, garbaty od słomy,

Tuzinem kolan, nóg i łokci szczelny,
W poranek wczesny, sierpniowy, niedzielny,

W dziewcząt jaskrawe strojny sukienczyny,
Białym gościńcem dudni od godziny..

Cień aż niebieski ścielą w poprzek drzewa,
Kwiatem ziemniaków ciepły wiatr zawiewa,

W blasku nad nami, szybująca kania,
W słomie samowar o imbryk podzwania —

Karczma... Jarzębin czerwień na szafirze.
Pręga wód modra i promu pobliże.

Połowa drogi! Jak cudnie, przecudnie!
Zdążymy lasem jeszcze na południe...

Nie spiesz tak wozie! Wiem, że śnię, czy nie śnię,
Zawsze na miejscu będziemy za wcześnie!

LAS.

Najpierw moczar, potem tarnin trochę.
Głupstwo trzewik! Mniejsza o pończochę!
Takie małe pięty gdzie chcą, zajdą...
    Grzybami pachnie! Każdy grzyb jest znajdą...

Tędy gąszczem... Potem ścieżką stromą...
Wiem na pewne. Skąd mi to wiadomo?
Od mrowiska teraz na wprost oczu!
    Krasą chuścinę ściągam na warkoczu —

Nie! Zawrócę... Czegoś las ten inny.
Drzew tych niema co być tu powinny...
Naraz jakoś obco i nieswojo —
    Czasem się starsi tak jak dzieci boją...

Straszno, późno, za daleko wszędzie...
Jeśli kto wiedział że to tak będzie,
To czemu nikt mnie nie ostrzegł o tem,
    Że już do domu nie trafię z powrotem?!

OPOR POD STOROŻKĄ.

Woda rwąca, zielona,
  Zimny, śliski, migotliwy pęd!
Wyciągnięte na wietrze ramiona,
  Ślady mokrych na kamieniach pięt...

Wertep, glina, dziewanny,
  Kij, kapelusz na oczach, jak grzyb —
Na dnie wody zachłannej, przeszklannej,
  Cienie drobnych ślizgają się ryb.

Skwar, południe, pogoda,
  Wspak we wodzie dwojący się las,
Taka rwąca, szumiąca ta woda!
  Taki rwący, szumiący ten czas!

Słońce, niebo, murawa!
  Bryzgi piany i głazy na dnie...
Czas cię spłukał, godzino łaskawa,
  Czemuż razem nie spłukał i mnie?

WPŁAW.

Wiem, że o niskiej zachodu godzinie,
Kiedyś, z zabrzeża, po mnie prom nadpłynie;

Lecz mu się niedam przez błonie spłonione,
Z innymi razem nieść na tamtą stronę.

Prosto w ten bławat iskrzący zachodem,
Wpław pójdę sama, nieznajomym brodem,

A zanim przejdę, radosna uwierzę,
Że twój to chłód mnie w swe ramiona bierze,

Że twój to nurt mnie, o wodo kochana,
Słodkiem witaniem objął pod kolana!

POŻEGNANIE.

Na polach spokój wielki
I szafirowa pogoda.
Pod lasem dokwita wrzos.

Będzie niedługo zima!

Przeciąg świeży jak woda,
Firankę w oknie wydyma,
Na szybach pełno os;
Pachną papierówki i muszkatelki,
Pachnie suchemi grzybami...

Wrześniowe słońce plami
Biel chłodnych pokoi,
Po kątach się uśmiecha
Na pożegnanie,
A w dzbanie
Więdnie gencyany wiecha.

Będzie niedługo zima!

A tam — za górami, lasami,
Czekają wszyscy moi,

Wszyscy jedyni, ci sami,
Których już niema...

Na lasach szafirowa pogoda...

WIEM.

Wiem że ich odzyskam oczyma,
Wiem że ich rozpoznam ustami,
Że mi wyjdą naprzeciw ci sami,
Że nie są mgłą ani snami,
Wiem...

TREŚĆ.

/150

TEGOŻ AUTORA:

Thème Varié 1902, Lwów (wyczerpane)
Symfonia Jesienna 1902, Lwów (wyczerpane)
Święto Słońca 1903, Lwów (wyczerpane)
Z Ogni Kupalnych 1904, Skole (wyczerpane)
Swanta, (baśń o prawdzie), 1909, Lwów (wyczerpane)
Dziewczęta, (nowele), 1910, Lwów (wyczerpane).
Arthur i Wanda, dzieje miłości Arthura Grottgera i Wandy Monné (Listy — Pamiętniki) — podali do druku Maryla Wolska i Michał Pawlikowski (dwa tomy). 1928. Medyka.

BIBLIOTEKA · POLSKA